OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 5/17 Lipca 1867 roku.

Nr 29. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

ALCHEMJA.

(*Dalszy ciąg.*— Patrz Nr. 6).

Historycy Alchemji, wywodzą jej początek od najgłębszej starożytności, nie mając jednak zamiaru podawania tu zupełnego streszczenia historji alchemji, pominiemy wszystkie wywody, na zasadzie których egipski Hermes Trismegistos, Mojżesz i jego siostra Mirjam, Demokryt z Abdery, a nawet św. Jan Ewangielista, za protoplastów tej nauki w pismach alchemicznych są uważani. Wszystko to bowiem zresztą są domysły, żadnej niemające podstawy.

W czwartym dopiero wieku ery chrześciańskiej, trafiają się pierwsze ślady pism dowodzące, że ideę alchemji już naówczas powzięto, jakkolwiek sama jéj nazwa znacznie jest późniejszą. W owych czasach przytem, a nawet w wiele wieków później, powierzchowne pozłacanie metali, brano nieraz za rzeczywistą przemianę.



Nowi nabywcy.—(Rysował Kostrzewski—Wyciął na drzewie Sznage).

Obraz z wystawy krajowej Sztuk Pięknych w Warszawie.

Od owej epoki aż do końca XVI stulecia, dzieje alchemji przedstawiają nam mnóstwo szarlatanów i oszustów, obok nich jednak spotykamy ludzi prawdziwej nauki, którzy z najniezaprzeczeńszą dobrą wiarą życie swe i pracę, poświęcali odkryciu kamienia mędrców. Wielokrotnie opinja publiczna nie rządząca się w tej wierze żadną krytyką, ludziom biegłym w naukach, a przytem bogatym i późnéj, czerstwej doszłym starości, a także nieraz zręcznym kuglarzom i oszustom—przypisywała umiejętność uszlachetniania metali.

Wyliczamy tu najgłośniejszych z pomiędzy ludzi, których w swoim czasie za adeptów uważano, zestawiając w porządku chronologicznym mężów prawdziwej nauki i cnoty, z szarlatanami, którzy tylko zręczności swojej sławę swoją winni.

Merlin (około 500 r.) w Anglji; Morjenus Romanus, zwany pustelnikiem z Jerozolimy (wiek XII), i Albrecht von Bokstedt inaczej Albertus Magnus, biskup Ratysboński (1193—1280), oraz jego uczeń św. Tomasz z Akwinu zwany Doktorem Anielskim, znakomity i niezmiernie obfity pisarz teologiczny (1224—1274); Arnaldus de Villanova, hiszpan (1235—1312); Rajmund Lullus (ur. 1235, żył około 100 lat); Nicolas Flamel (ur. 1330, um. w pocz. XV w.); Basilino Valentinus, niemiec; Izak Hollandus i syn jego; Jakub Lecor, francuz; Bernardus Comes, włoch; Jerzy Angelus, niemiec, opat z Waldsassen; Jerzy Ripley, anglik (wszyscy w XV w.); Ludwik von Neuss ze Szlązka, r. 1483 głodem zamorzony w Marburgu; Salomon Frismosin; daléj sławny z zasług w chemji farmaceutycznej położonych i awanturniczego życia Philippus Aureolus Paracelsus Theophrastus Bombastus von Hohenheim, także Eremitą zwany (1493—1541); Jean Fernel, francuz (um. 1558); Dionisius Zacharias, francuz; Edward Keley, inaczéj Talbot; John Dee, anglicy; Sebald Schwertzer (XV w.)

Przekonanie współczesnych, jakoby ci wszyscy ludzie robili złoto, żadnéj krytyki wytrzymać nie może.

Z XVII dopiero wieku pojawiają się ludzie, których dziejopisy alchemji, w okolicznościach przez wiarogodne świadectwo historyczne stwierdzonych. za powagi naukowe podają.

Wyliczamy tych tylko, co do których dowody zdają się najautentyczniejsze.

Pierwszym z nich był *Aleksander Seton*, szkot, zwany Kosmopolitą, zmarły w Krakowie 1604 r. W ostatnich trzech latach swego życia, robił on projekcje w obec świadków niepodejrzanej wiary i zaręczających zá najzupełniejszy skutek, a mianowicie w Bazylei u złotnika, w Frankfurcie, w Kolonji i w Hamburgu. W Sztrasburgu dał jednemu złotnikowi część tynktury, którą ten również w obec świadków robił projekcje, przypisując sobie wynalazek. Przybywszy do Monachjum, Seton ożenił się i na początku 1603 przybył na dwór kurfirsta Saskiego, gdzie również w obec księcia i dworu całego odbywał projekcje. Kurfirst Chrystjan II nie mogąc dobrocią i pochlebstwem wydobyć tajemnicy z Setona, wtrącił go do więzienia, gdzie torturami nic na nim wymódz nie można było. Z więzienia tego wykradł go polak *Michał Sędziwój* i wywiózł do Krakowa, gdzie adept życie zakończył.

Historja Sędziwoja więcéj jeszcze dodaje powagi historji samego Setona. Sędziwój (ur. w Sandeczu 1556), poświęciwszy swój majątek na uwolnienie adepta, żądał od niego w nagrodę odkrycia tajemnicy. Seton odmówił, dał mu jednak uncją swego proszku, mogącą uszlachetnić 5000 uncji złota. Po śmierci Setona, Sędziwój ożenił się z pozostałą po nim wdową, która mu oddała resztę tynktury i rękopisma adepta. Posiadłszy te skarby Sędziwój, zaczął w Krakowie książęce życie, nieszczędząc tynktury, myślał bowiem że jej przepis w rękopismach adepta odszuka, i starając się uchodzić że rzeczywistego posiadacza tajemnicy. Robił projekcje w obec świadków, nawet na dworze króla: zaraz w 1604 r. był w Pradze i cesarzowi Rudolfowi cokolwiek swego proszku udzielił, za pomocą którego monarcha własnoręcznie dokonał projekcji, i w pokoju w którym to miało miejsce, wmurować kazał marmurową tablicę z chlubnym dla Sędziwoja napisem. Tablica ta jeszcze w piędziesiąt lat potem istniała. Dalej popisywał się ze swą sztuką w Sztutgardzie przed księciem Fryderykiem Wirtemberskim, który zachwycony skutkiem chciał go przy sobie na zawsze zatrzymać. Nie przyjął tej ofiary, wiedząc że wymaganiom księcia nie będzie mógł zadosyć uczynić, a następnie skutkiem intrygi dworaków uwięzionym został, w czasie czego znaczną cześć posiadanej tynktury utracił. Odzyskawszy wolność, niemając już cudownego proszku, zaczął szarlatańśtwem podtrzymywać zdobytą sławę adepta, przepisu bowiem robienia tynktury w pismach po Setonie pozostałych nie znalazł. W taki sposób łudząc i wyzyskując łatwowiernych, dożył do lat ośmdziesięciu. [1])

Drugim człowiekiem, który u poważnych nawet historyków za prawdziwego adepta uchodzi, jest *Ireneusz Philaleta*, (przyjaciel prawdy), urodzony w 1612 r. Z historji jego tylko kilka niepołączonych z sobą szczegółów jest wiadomych; nie wiadomo nawet na pewno, czy był francuzem, czy anglikiem. O projekcjach robionych przez niego, nie ma tak licznych i tak szczegółowych podań jak o Setonie, to pewno jednak, że posiadanej tynktury dał Jerzemu Starkey, który następnie podobnież jak Sędziwój za wynalazcę jej chciał uchodzić, a roztrwoniwszy wszystko, zaczął dopiero nad odkryciem pracować, nie doszedł jednak do żadnego wypadku, wynalazł pewien rodzaj mydła. Co się z samym Philaletą stało, niewiadomo.

W czasie od 1680—1683 r. zjawił się nowy wielki nieznajomy. Zwano go baronem *von Wagnereck*. Synowiec jego robił projekcje w Pradze, w której otrzymane od niego cztery grany tynktury, wydać miały siedm łutów złota. Doświadczenie, jakkolwiek w obec mnóstwa świadków odbyte, na żadną nie zasługuje uwagę, albowiem na tak małą skalę, bardzo łatwo podstępu dopuścić się można. Miał jednakże ten sam adept robić wiele innych projekcij, na większą zasługujących wiarę. Umarł w Ems 1683 r.

(*Dokończenie nastąpi*).

---

[1]) Życie Sędziwoja dwóm autorom polskim dało przedmiot do utworów: J. B. Dziekoński napisał z niego powieść trzytomową, a Wacław Szymanowski dramat.

ZROZPACZONA.

Chodzi dziewcze po ogródku
Wysadzoną drogą,
Lecz w ogródku, pełno smu-
[tku
Bo nie ma nikogo.
Czemu świecisz słońce Boże,
Czemuż pachniesz krzaku?
Czemu śpiewasz piosnki hoże
Uprzykrzony ptaku?
Spojrzę w jedną, w drugą
[stronę
Serce się zaszlocha;
Grządki moje spustoszone
A serce wciąż kocha.
Wczora tańczyć mi kazali,
A ja myślę sobie:
Ja tańcuję w jasnej sali
A wietrzyk na grobie..
W tańcu bukiet mi podano
Wonnych kwiatów tyle,
A ja pytam: gdzie je rwano
Czy nie na mogile?
Do północy skoczne tany,
Skroń w różanym wianku,
Do północy gwar pijany
A płacz do poranku..
Nauczyła matka stara,
Że należy wierzyć:
Dobra wiara, słodka wiara,
Ale lepiej nie żyć:
Skryty w krzaku słowik mały
Tęskni nad ruiną;
Lecz gdzie dom zapada cały
Tam już łzy nie płyną.
Żal poniosę do mogiły
Serca anioł strzeże,
Na cierpienia dość mam siły,
A w szczęście nie wierzę.
Panu Bogu powiem śmiele:
Niezbłagany Boże!
I jak moich braci wiele—
W groby się położę.
Zabiadała piersią całą
Boleść któż przemoże,
A co chwila w ustach brzmiało
Mój Boże! mój Boże!..
Niechże człowiek nie pociesza
Gdy tak serce biada,
Niechże ciszy nikt nie miesza
Gdy człek z Bogiem gada. [1])

Teofil Lenartowicz.

[1]) Wiersz ten, dotąd podobno jeszcze nigdzie nie był drukowany. (Przyp. Redakcyi).

SEN PANA MACIEJA.

Był to jeden z owych smutnych dni Listopadowych. Ciężkie chmury wisiały na widnokręgu i wiatr północny igrał opadłemi liśćmi; całe przyrodzenie przybrało barwę żałobną, niby pogrzebową. Lecz nie tylko na widnokręgu wisiały ciemne chmury, jedna z nich znać wpadła do niegdyś spokojnego warsztatu majstra szewckiego Macieja Dratwy i zawisła na jego zwykle tak pogodnem czole.

Nikt nie wiedział z której strony burza nadciągnęła, lecz każdy czuł nieszczęsne jej skutki, zacząwszy od poczciwej jego żony Doroty, aż do najmłodszego ucznia który z bolesno komicznem skrzywieniem uszy zakrywa, które pod nielitościwą dłonią rozgniewanego majstra metamorfozie uległy i dziwnie gotowane raki przypomniały. W pokoiku obok warsztatu siedziała pani Dorota, obok niej przedmiot troskliwości i przywiązania obojga rodziców, jedyne ich dziecię, ośmnastoletnia Zosia. Jasną główkę dziś nisko nad robotą spuściła i drobne łezki jedna za drugą, z ciemno-błękitnych spadały oczu. Dawniej jednem spojrzeniem rozbroić potrafiła tego, który ukochanej jedynaczce nic odmówić nie był w stanie, a dziś nawet nie spojrzał na nią, choć z najwdzięczniejszym uśmiechem kawę mu podała. Więc obie niewiasty siedziały smutne i zadumane, przysłuchując się prędkim krokom, któremi się pan Maciej po warsztacie przechadzał. Nagle stanął przed starszym czeladnikiem Janem Bocińskim, który zamyśliwszy się głęboko, robotę na chwilę opuścił.—,,Widzę, waści panie Janie, robota już nie w smak, myśli gdzieindziej, marzy się o własnym warsztacie, o ładnej może majstrowej? hę? Zresztą od jutra pozwalam myśleć i marzyć o czem będziesz chciał, bo na twoje miejsce zgodziłem innego czeladnika, który mniej romansami, a więcej robotą zajęty będzie.” Janek dumnie głowę podniósł, przystojna twarz jego przybrała wyraz złowrogi, znać stosowna takiemu obejściu odpowiedź na ustach się błąkała, lecz upamiętawszy się nagle, rzekł prawie spokojnym głosem: ,,Trudno panie majstrze, nie mogłem wam dogodzić, to niech się wola Boska dzieje, On sieroty nie opuści.” To powiedziawszy zajął się robotą, i ktoby mu się przyglądał w tej chwili, byłby dostrzegł dwie duże łzy, które się powoli po zbladłem licu młodzieńca stoczyły. Pan Maciej znów żywo się przechadzał, już nic do nikogo nie mówiąc. Czeladnicy i uczniowie pilnie rękami machali robiąc po cichu wnioski, zkądżeby ten gniew przeciw Jankowi, który prawie wychowańcem domu był, bo rodzice go w jedenastym roku życia odumarli; zresztą za wzór pracowitości i prowadzenia obyczajnego uchodził. Przy zapadającym zmroku, pan Maciej dopiero warsztat opuścił i poszedł na górę, gdzie drzwi za sobą na klucz zamknął. Najpewniejszy to był znak złego usposobienia pana domu. Pani Maciejowa odetchnąwszy ciężko rzekła po chwili: ,,Nie domyślasz że się moje dziecko, dla czego ojciec markotny?” Zosia główkę podniosła i łzawe spojrzenia na matkę obróciła! ,,Oj! wiem ja jaka przyczyna;—ojciec dziś był na obiedzie u pana Bartłomieja; wiesz matko że ojciec mnie jemu przeznacza, bo bardzo bogaty, a choć już stary i dużą głowę i rude włosy ma, lecz obok tego piękną kamienicę, i jak ludzie powiadają cały wór czerwonych złotych. Panu Bartłomiejowi znać ktoś szepnął o Janku i że i matuchna mu sprzyja, ztąd te wszystkie żale i przykrości. Lecz Bóg przemieni matuchno, ja nie będę żoną Bartłomieja, raczej umrę”.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi panno Zofjo! — rzekł Janek, stanąwszy we drzwiach przed zarumienioną Zosią, która utuliwszy jasną główkę na łonie matki, Jankowi rękę podała. Pani Maciejowa smutnie się uśmiechając do młodzieńca, rzekła:

— Przykra nas dola przycisnęła.

— Przykra i smutna pani majstrowo, przyszedłem was pożegnać, bo jutro dom wasz opuszczę, gdzie przez lat tyle dobroci i opieki waszej doznałem. Bóg wie kiedy wrócę, pracować będę całemi siłami, bym kiedyś śmiałem czołem was o rękę córki prosić był w stanie. Tęsknić zdala od was będę, lecz odwaga i nadzieja mi towarzyszą, bo mam obietnicę Zosi że niczyją nie będzie.

— Janku, rzekła Zosia — tę obietnicę raz jeszcze powtarzam w obec Boga i drogiej matuchny naszej, miejmy nadzieję w Bogu, on nas nie opuści.

Janek pożegnał płaczące kobiety i prędko się oddalił, by pokryć głębokie wzruszenie, które gorące łzy z oczu jego wyciskało.

Na dole kobiety płakały. Na górze siedział ten, który łez ich był przyczyną, wciąż z zachmurzonem czołem, lecz nagle się zerwał, pobiegł do szafeczki, wyjął z niej butelkę, na której wielkiemi literami wyraz ,,Kimmel” o wewnętrznej wartości wyobrażenie dawał. Nalał sobie kieliszek jeden, drugi, trzeci, ot i czoło się wypogodziło i chmura gdzieś się rozeszła po zjawieniu się tego słońca kimmlowego. Pan Maciej zmrużył na wpół śmiejące się oczy mówiąc: ,,Głupstwo to wszystko na świecie, najwięcej pono rozumu w tej oto butelce. Jeszcze kieliszeczek Macieju;”—i butelka już próżna, lecz głowa tem pełniejsza schyliła się na stół, niby w głębokiem zamyśleniu. Potem się zachwiał, usiadł machinalnie na krześle,—i zasnął. Ale sen miał okropny. Zdawało mu się, że czuje jakieś lekkie wstrząśnienie, któremu się oprzeć nie jest w stanie. Całkiem stracił przytomność, tylko czuł że leci, leci, coraz głębiej w niezmierzoną przepaść. Nagle z niewymównym strachem, ujrzał przed sobą olbrzymie sklepienie wspaniałej ponurości. Gdzie niegdzie krwawe płomyki oświetliły widok, który go w coraz

większe przerażenie wprawiał. Widział bowiem kilka małych djabełków kozłujących koło płomieni, którzy widząc go, nisko się kłaniali z powagą tak komiczną, że pomimo fatalnego położenia, pan Maciej się uśmiechał. Wtem jeden z poważniejszych djabłów się zbliżył i biorąc go za rękę, zaprowadził do jeszcze wspanialszej ciemnicy i pan Maciej, którego oko się już do ciemności przyzwyczaiło, ujrzał w niewielkiem oddaleniu na wspaniałym tronie, w całym szatańskim majestacie książęcia piekieł. Złota korona odznaczała go od jego poddanych, w prawej ręce trzymał berło misternie z kości ludzkich wyrobione.

— Królu panujący nad nami, rzekł schyliwszy się do ziemi mój przewodnik, — przyprowadziłem ci owego syna ziemi, na którego z upodobaniem spoglądać raczyłeś, zechciej mu przeznaczyć pracę odpowiadającą jego zdolnościom.

Pan Maciej struchlał: „Miałżebym buty szyć dla tej czarnej hołoty" i pogardliwy wzrok jego zatrzymał się na bosych nogach królewskich dworzan.

— Mieszkańcze ziemi, odezwał się książę, — do jutra tylko gościem moim jesteś i pozwalam ci zwiedzić piękne zakłady mego państwa, lecz po upływie tego czasu, staniesz się jednym z poddanych moich. Oprowadźcie mi gościa, niech pozna, że moja gościnność w niczem ziemskiej nie ustępuje, skinął głową na znak i że audjencja skończona.

Schyliwszy się przed szatańskim majestatem, p. Maciej spieszył za swoim przewodnikiem. Był to zręczny mały djabełek, którego szczególne funkcje były rzucać ziarna gniewu i zazdrości między małżeństwa,—nazywał się Asmodeusz. Dla p. Macieja zdawał się wielce grzecznym, nie wiem czy skutkiem wrodzonej uprzejmości, czy za rozkazem władcy. Tak przeszli długi, ponury korytarz, który do ogromnych zakładów prowadził. Brama się rozwarła, na której ognistemi literami napisany wyraz: „Pycha."

— Oto pierwsze zakłady, rzekł Asmodeuszek—pycha, albo jak ludzie zowią „próżność," najwięcej dusz nam zyskuje. Dawnemi czasy, jakież były zabiegi około jednej duszy: pisz cerografy, syp złotem, czychaj i czuwaj nad duszą, a na końcu się jeszcze wymyka. Dziś towar ten spadł o wiele niżej. Za ładną sukienkę, za lada świecidełko, wstążeczkę orderową, za mniej jeszcze, duszyczkę zdołasz kupić. Tu widzisz wielkie fabryki strójów, tam magazyn orderów, tu urzęda, zaszczyty, godności, od mitry książęcej, aż do miotły stróża. Wraz z dostojeństwem wciskamy w ich serca samolubstwo, wyjmujemy z ich wnętrza wszelkie szlachetne uczucia, wysuszamy i wypalamy serca, pragnieniem coraz większych zaszczytów. Próżność wszechwładna pani całego obszaru ziemskiego: znajdziesz ją w pałacu bogacza, jak w chacie nędzarza, za nowym gorsecikiem Marysi, jak za prawdziwemi koronkami wielkiej pani. Te same występki, te same wady, w każdej warstwie ludności. Nie wolno mi wprowadzać cię do wnętrza naszych zakładów, tylko wierzchni obszar wskazać ci mogę; —i dalej szedł p. Maciej za wymownym towarzyszem. Z daleka wielki łoskot ich dochodził.

— Tu nasze zbrojownie, rzekł Asmodeusz— wskazując na podobną bramę z napisem: „Gniew." Ztąd idą wysłańce na waszą ziemię, zbroić brata przeciw bratu, syna przeciw ojcu, ludy przeciw bratnim ludom. Ztąd rzucamy ziarna nienawiści i sztylety dla zemsty spragnionych. Tam fabryka intryg, które gotowiuteńkie do waszych usług na ziemię rzucamy. Ogłusza cię łoskot broni i potok słów obelżywych, więc chodźmy dalej, zaprowadzę cię do brzęku mniej ogłuszającego i więcej jeszcze wabiącego ludzkie namiętności. Tu,—mówił na trzeci zakład wskazując: „skąpstwo" nagromadziło olbrzymie skarby; i przed okiem zdumionego p. Macieja, odsłaniały się góry złota i drogich kamieni. — Patrz, rzekł Asmodeusz z pogardliwem wejrzeniem,—za jedną taką blaszkę kupisz duszę, której przeznaczeniem było dojść do najwyższej chwały, być podobną Temu który ją stworzył. Blaszka ta wielce u was ceniona; kupisz za nią wszystko: miłość, szacunek i szczęście. Ona rozprzęga najmilsze związki rodzinne, wznieca niepokój między rodzeństwem, brat za nią sprzedaje siostrę, ojciec ukochane dziecko— to mówiąc, z boku na pana Macieja spoglądał; lecz ten głowę spuścił, by ukryć rumieniec wstydu, który twarz jego oblewał na wspomnienie Zosi sprzedanej p. Bartłomiejowi. Podniósłszy znów głowę, ujrzał niedaleko wychudłą postać kobiety, która ręce ku owym skarbom wyciągała. „Asmodeuszku, zawołał p. Maciej—toć to sąsiadka moja znana z wielkiej pobożności Kacprowa, taka cicha pokorna kobiecina."

— „O ciemni ludzie!, zwierzchnią tylko widzicie powłokę, a nie zbadacie gruntu serca. U tej kobiety szatan skąpstwa oddawna gości i ona do nas prawem należy. Nabożeństwo, modły, pokuta, nic jej nie pomogą, dopóki ta namiętność duszą jej włada."

— Lecz chodźmy dalej, zbyt długo bym zabawił zastanawiając się wszędzie nad niedorzecznością twoich współbraci. Tu „zazdrość" i główne składy trucizn, sztyletów, intryg i wszystko co głupota ludzka wymyśleć mogła, by się unieszczęśliwić i zabić własną ręką. Patrz na twarze przyprawiających jady i na tych co je odbierają. Cera ich żółta, oczy zapadłe.... maluje się na ich twarzach namiętność, która wnętrze pożera. Małżonek ów, najcnotliwszą ma kobietę, on aż do nas przyszedł by odkryć drobną nitkę, z którejby zdradę wysnuć był w stanie; zacna żona ufnego męża nie byłaby zdradziła, lecz podły zazdrośnik sam ją do przepaści wtrącił. Tam zgrzybiały starzec pojął młodą żonę, on wie że kochać go nie może, a jednak przykuł ją do siebie związkiem nierozerwanym, teraz zazdrością zabija. Biedny zazdrości bogatemu, on nie wie ile nocy bezsennych bogacz ten pędzi na miękkiem posłaniu żmęczony całodzienną komedyą, napróżno o spoczynek woła. On by wszystko poświęcił by odetchnąć swobodnie i ucieszyć się zdrowiem, którego biedny wśród pracy po całodziennych zabiegach używa. O zazdrości, okropna namiętność która opanowawszy człowieka, całe życie zatruwa, spokojnej chwili nie dozwala i nareszcie odda w ręce złych duchów. Pan Maciej milcząc chodził obok swego towarzysza, lecz tenże uśmiechnąwszy się rzekł: „W znane cię teraz strony zaprowadzę." Wzniósł p. Maciej wzrok przelękniony i czytał napis: „Pijaństwo i obżarstwo." Zapach mocnych trunków go zalatywał i wśród wielkich płomieni widział olbrzymie kotły i koło nich mnóstwo czarnych postaci. Trochę dalej, piętrzyły się góry z samych butelek rozmaitej wielkości i najdziwaczniejszych napisów. Asmodeusz szyderczym uśmiechem na p. Macieja patrząc, rzekł: „Jakże ci się tu podoba? patrz tu raj ziemski: ile marzeń ile cudnych wrażeń mieści się w tych butelkach. Tam fabryka dla tych co żołądek ich bogiem. W tych zakładach cała siła nasza i najłatwiejsze zwycięztwo nad słabemi sercami. To odbiera rozum bogaczom, rzekł wskazując na drogie wina—a w tym, pokazując na kotły—biedny swe troski zatapia. Wszyscyście sobie w tym równi; namiętność nie wybiera, rozgości się w duszy geniusza jak u nikczemnego prostaczka, wytępia w nich resztę uczuć szlachetnych, zabija honor, uczciwość i wszystko co cechę wyższą znamionuje, stawia go niżej zwierzęcia, tak że nawet my szatani temi duszami gardzimy." Pan Maciej ze spuszczonem czołem z rumieńcem wstydu, słu-

chał rozprawy Asmodeuszka i w ponurem milczeniu za nim postępował. „Tu przybytek rozpusty, mówił wskazując na wspaniało oświetlone pałace—tu goszczą owe szatanki, które w ziemskie obleczone szaty, na ziemię wysyłamy. Oczy błyszące, uśmiech czarowny, lecz duszy napróżno byś tam szukał. Strzeż się śmiertelniku spojrzeń tych szatanek. Odziej serce żelaznym pancerzem bo okiem ci się wciska do duszy, ogarnia całe twe jestestwo, myśli i wolę twoją. Wysysa każde wielkie, szlachetne uczucie i robi cię podłym niewolnikiem, poddanym szatanki i tu nie wolno mi odsłaniać ci więcej, bo już do ostatnich zakładów dochodzimy, gdzie nawiasem mówiąc, najwięcej ziomków swych znadziesz. „Lenistwo" zabójcze, dla duszy i ciała. Tak jak ciało upada wśród życia gnuśnego i bezczynnego, tym bardziej dusza której przeznaczeniem ciągła praca, ciągłe doskonalenie się, z pokolenia w pokolenie. Nie brak wam zapału, zdolności u was olbrzymie, lecz brak wytrwałości i owej żelaznej pracy, która często powoli lecz niezawodnie naprzód prowadzi i wznosi pojedynczego człowieka jak całe narody. Patrz co tu zaczętych prac, niedokończonych przedsięwzięć, dobrych zamiarów i sposobności doskonalenia się zaniedbanych. Wszystko tu wiernie zachowamy i kiedyś na sądzie wiecznym staniemy ze skargą, wskazując na zdolności, porównywając je z pracą waszą. Przemysł, nauka i z niem dobrobyt, upadają dla braku jedności i wytrwałości. Rzucacie się z zapałem w nowe idee i przedsięwzięcia, lecz również prędko skrzydła opadają, niechęć i zwątpienia was ogarniają i niezdolnymi czynią do nowych prób.—Lecz już stanęliśmy u kresu wymierzonego nam czasu, wróćmy więc do pana naszego. Nie wiem jaki los ciebie tu czeka, lecz przyznać się muszę, że szczególniejszą ku tobie sympatję powziąłem, co u nas diabłów arcyrzadko się zdarza. Nieraz już próbowałem się wcisnąć do twego domu, lecz olśniony blaskiem cnoty żony i córki twej, prędko ustąpić musiałem, tylko kolega mój przez buteleczkę czasem do ciebie zaglądał." Na wspomnienie żony i córki, głębokie westchnienie wyrwało się z piersi pana Macieja, i dopiero grzmiący głos księcia z głębokiej zadumy go ocucił. „Próżniacy!—wołał tenże potężnym głosem, chcecie wielkich panów udawać jak ziemskie syny, do pracy! do pracy! Nowoprzybyłego zaprowadzić do fabryk gorących napojów, niech warzy dla swoich współbraci, sam nie skosztowawszy ani kropli. Takie prawo, czem kto zgrzeszył tem ukaran będzie." Dwóch silnych diabłów rzuciło się na p. Macieja, ten chcąc się oprzeć, gwałtownie się szarpał i wśród walki upadł dość mocno na ziemię...... oczy przetarł — i ujrzał się na podłodze we własnym pokoju, a przed nim na stole wypróżniona butelka. W tej chwili ozwał się głos płaczący pani Doroty: „Mężu! na miłość Boską daj znak życia, czyś zasłabł, o Boże! mój Boże!" Pan Maciej przetarł raz jeszcze oczy i chwiejącym krokiem ku drzwiom się zbliżył, za któremi zmartwiona jego małżonka stała. „Chwała Bogu! nic ci się nie stało! ale blady i zmęczony wyglądasz," troskliwie nań spoglądając rzekła. „Cyt, oglądając się trwożliwie szeptał p. Maciej—okropne sny mnie dręczyły, aleć to sen tylko być mógł. Lecz chodźmy na dół, tęskno mi za usciskiem mojej jedynaczki." „Byłabym zapomniała, rzekła Maciejowa smutnie—Janek czeka na dole, nie chciał domu twego opuścić, nie podziękowaszy ci za dotychczasową opiekę."

— Janek?... pożegnać? dla czegoż on nas opuszcza? Ah prawda, przypominam sobie—i żywo pociągając żonę na dół pośpieszył.

Na dole siedziała Zosia smutna i zapłakana, przed nią stał Janek z zamyślonem czołem i rezygnacją w oczach. „Zosiu nie rozpaczaj, co Bóg złączył, ludzie rozłączyć nie potrafią i ojciec stałością naszą wzruszony, zmiękczy swe serce..." „Zdaje ci się chłopcze! ozwał się za nim głos p. Macieja, który z łagodnym uśmiechem na zmięszaną parę spoglądał, i wziąwszy rękę Zosi złożył ją w Janka dłoń mówiąc: „uszczęśliwij ją Janku, z nią ci daję wszystko co szczęściem mem się zowie." P. Maciejowa złożyła ręce ku cichej modlitwie, Zosia rzuciła się płacząc w objęcia rodziców. A Janek! on żelazny w boleści, w szczęściu jak dziecko płakał, całując ręce swych opiekunów. Tu pióro się zatrzymuje: opisać wielką radość lub boleść nie podobna, nadmienić tylko muszę, że sen p. Macieja cudowny sprawił skutek. Gorączkowo unikał tego co dawniej tak lubił, buteleczki. Trudno sobie wystawić ładniejszej pary jak Janek i Zosia. Pan Maciej odstąpił im własny warsztat i oboje rodzice osiedli przy nich, by cieszyć się szczęściem ukochanych dzieci. Sen pana Macieja szczęśliwą się zakończył rzeczywistością, aby o każdym z nas to samo powiedzieć można.

J. S.

Listy z podróży na wystawę paryzką.

VI.

Paryż *24 Czerwca 1867 roku.*

Przypatrując się rozmaitym, tak rozmaitym, że aż głowę nieraz tracić przychodzi, przedmiotom, na wystawie paryzkiej, doszedłem do tego przekonania, że oko ludzkie, a podobno i umysł, są tak urządzone iż tylko przedmioty pewnej miary, jasno i wyraźnie w nich się przedstawiają. Jest wiele rzeczy, którychbyśmy ani zobaczyć wyraźnie, ani dobrze zrozumieć nie potrafili, gdybyśmy nie poszukali sposobu powiększenia ich albo zmniejszenia. Ogrom gdy go mamy przed sobą, wychodzi daleko po za granice naszego wzroku lub pojęcia, — coś znowu nieskończenie drobnego, znika nam z oczu, staje się punkcikiem, iskierką, w której oprócz bytu, nie widzimy nic więcej. Potrzebujemy pomódz ograniczonym władzom naszym fizycznym i moralnym, ażeby ich działanie ułatwić.

Jedną z takich próbek ogromnego rozmiarem dzieła, które w pomniejszeniu dopiero jasnem i wyraźnem mi się stało, oglądałem wczoraj w parku wystawy, w osobnym budynku, wzniesionym w guście egipskiej swiątyni. Były, to wypukłe pláni, rysunki, fotografje, słowem wszystko co razem posłużyć może do zrozumienia całej wielkości i trudności olbrzymiego przedsiewzięcia, opisywanego niedawno w Opiekunie,—Suezkiego kanału. Znajduje się tutaj wielka mappa, wykonana na sposób płaskorzeźby, a przedstawiająca niższy Egipt i międzymorze Suez. Widać tu jak wyraźnie i ostro odrzyna się od przestrzeni użyznionej wylewami Nilu, ów piasek ruchomy, stanowiący pustynię, przez którą przechodzi kanał. Na tejże mappie okazanym jest kierunek i rozmiar kanału łączącego morze Śródziemne z Czerwonem, dalej widzimy kolej żelazną z Kairu do Suezu, żyżną i mieszkalną miejscowość El-Wadi, stworzoną przez towarzystwo budujące kanał, oddzielny kanał wody słodkiej, zaopatrujący miasto Suez w wodę do picia, słowem wszystko co w Opiekunie opisane było, widać tu w całej wydatności. Dalej znajdują się również w rodzaju płaskorzeźby, wypukłe, plany miast położonych nad kanałem: a mianowicie Suezu, Ismallji, oraz portu Said, zbudowanego na morzu Śródziemnem, na gruncie wydartym falom i piaskom, gdzie jeszcze dziesięć lat temu panowała cisza pustyni. Patrząc na ten plan, poznaje się miasto, jakby go się zwiedziło. Port Said leży między morzem, jeziorem Mensalek i kanałem, posiada latarnią morską, kościół, szpital, magazyny. Domy mają dachy spiczaste, europejskie, niezbyt spodziewane na egipskim gruncie. Dwie groble, jedna 1620, a druga przeszło 2000

sążni długa, usypane rękami ludzkiemi, ciągną się w morze i tworzą port bezpieczny a obszerny.

Drugie miasto nad kanałem, dawniej Timsah, a dziś Ismailia (na cześć wice-króla Egiptu) zwane, leży nad jeziorem Timsah, i łączy się z wychodzącym z Nilu kanałem wody słodkiej z głównym kanałem. W tem mieście znajduje się teraz siedlisko administracji kanału. W bliskości w El-Ghisr, wznosi się pałac wice-króla.

Samo miasto Suez, na trzecim planie, przedstawia smutny widok. Budynki ma nędzne, oprócz pewnej liczby zamieszkałych przez europejczyków. Przy wejściu kanału do morza trzeba było jeszcze usypać dwie długie groble, pomiędzy któremi kanał idzie dalej, morze dawno się zaczęło, gdyż z brzega morze Czerwone jest zbyt płytkiem dla okrętów.

Oprócz mapp i planów *en bas-relief*, znajdują się tu także okazy wszystkich pokładów wchodzących w skład gruntu, przez który przechodzi kanał próbki pokładów soli, piasku, wapna, alabastru, krzemienia i t. p. Z osobliwości naturalnych jakie tam odkopano, zasługuje na uwagę jedno skamieniałe drzewo i przezroczysty blok soli.

Oglądając to wszystko, zdaje się jakby się było na miejscu, a nawet rozumieć można wszystko lepiej niż gdyby się było na miejscu, gdyż tutaj wszystko przedstawionem jest w pomniejszeniu, a przez to łatwiej pojąć całość przedsięwzięcia i stosunek do niej wszystkich pojedyńczych części roboty.

Narzędzi służących do badania tego, znowu co małością swoją zdaje się znikać przed naszem okiem, to jest mikroskopów, jest wiele na wystawie, i znawcy twierdzą, że okazują znaczny postęp pod względem fabrykacji.

Wynalazek mikroskopów jest już znanym około 200 lat, lecz w ostatnich 30 latach najwięcej wydoskonaleń zrobiono w jego budowie. Udoskonalenia te doszły tak daleko, że na obecnej wystawie p. Nachet przedstawił mikroskop podwójny, w którym obraz przedstawia się jak w stereoskopie, lecz w powiększeniu odpowiedniem.

Powiększenie w mikroskopie zależy od soczewki, czyli szkła powiększającego, zwanego objektywą, w którem linja na którą patrzymy okazuje się kilka, kilkanaście, kilkaset, do tysiąca a nawet 1500 razy większą. Widziałem tu soczewkę powiększającą 1500 razy, jest ona tak małą, że zaledwie gołem okiem dojrzeć ją można, potrzeba zdaje się mikroskopu, żeby ją samą zobaczyć.

Słyszałem dawniej o mikroskopach powiększających po kilkakroć stotysięcy i po miljonie razy, i dlatego zdziwiłem się bardzo, gdy mi tu powiedziano, że największe powiększenie nie przechodzi w mikroskopach dotąd wynalezionych 1500 razy. Wytłómaczono mi to. Mikroskop w którym linja prosta jest np. 100 razy dłuższą od naturalnej, można nazywać powiększającym 100 razy, albo 10,000 razy, gdyż powiększa tak samo wzdłuż i wszerz, a zatem jeżeli pod nim położony jaki przedmiot to go ujrzymy 100 razy dłuższym i 100 razy szerszym czyli 10,000 razy większym. Jeżeli mikroskop długość i szerokość przedmiotu powiększy 1,500 razy, to jego cała powierzchnia powiększy się 2,250,000 razy.

Między rozmaitemi przedmiotami znajdującemi się w budynku mieszczącym między narodową wystawę jest towarzystwo pomocy dla rannych; zwróciły mają uwagę woreczki pargaminowe, które wszędzie po szpitalach, a nawet dla pojedynczych chorych, lub poprostu dla cierpiących na ból głowy mogłyby być bardzo pożyteczne.

Woreczki te pargaminowe mają własność, że kiedy są napełnione niekoniecznie lodem, lecz zwyczajną zimną wodą, utrzymują przez długi czas bardzo niski stopień temperatury, i mają tę korzyść, że użyte do okładania głowy lub jakiegobądź chorego miejsca, całemi godzinami na tem miejscu pozostawać mogą, przez co ustaje potrzeba zbyt częstego niepokojenia pacjenta, a pielęgnujący ma tym sposobem niemałą ulgę.

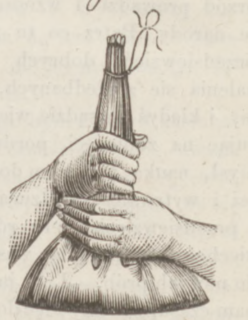
Pargaminowane woreczki są w sobie rzeczą niezmiernie prostą. Mają one tę własność, że znajdująca się w nich woda ciągle paruje przez pory pargaminu, i to właśnie parowanie, czyli raczej przesiąkanię wody, w niezmiernie małych kropelkach utrzymuje zimno. Na wystawie woreczki są zawsze napełnione wodą, a siła ich przesiąkająca jest tak wielka, że po kilku dniach, wewnątrz pozostaje tylko powietrze, woda zaś literalnie do ostatniej kropelki wyparowuje.

Użycie woreczków pargaminowych jest bardzo łatwe. Najprzód zwilża sią cały woreczek na zewnątrz mokrą gąbką, tak żeby się stał zupełnie miękki, następnie napełnia go się wodą zimną prawie do czwartej części, pozostała część próżna zwija się w taki sposób jak na fig. 1. załączonego rysunku, potem powietrze znajdujące się po nad

Fig 1.



Fig 2.

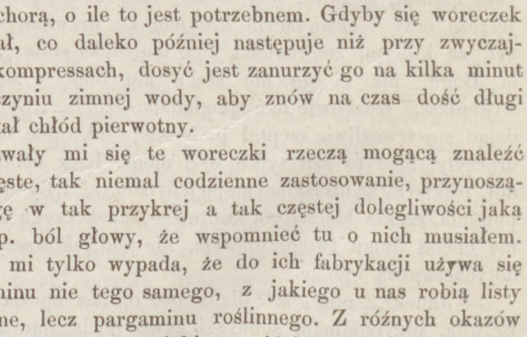


wodą, wyciska się w sposób wskazany na fig. 2. a następnie zawiązuje się woreczek tasiemką ile można najsilniej. Tak przygotowany woreczek potrzeba już tylko zwinąć w sposób na fig. 3 podany) i przyłożyć na miejsce, które ma być okładanem zimną wodą. Gdyby chory nie mógł znieść ciężaru wody, wtedy można temu zaradzić wstawiając nad łóżkiem półkole drewniane (fig. 4.) u którego na

Fig 3.



Fig 4.



sznurku zawieszony woreczek, o tyle tylko będzie naciskał część chorą, o ile to jest potrzebnem. Gdyby się woreczek rozgrzał, co daleko później następuje niż przy zwyczajnych kompressach, dosyć jest zanurzyć go na kilka minut w naczyniu zimnej wody, aby znów na czas dość długi odzyskał chłód pierwotny.

Zdawały mi się te woreczki rzeczą mogącą znaleźć tak częste, tak niemal codzienne zastosowanie, przynoszącą ulgę w tak przykrej a tak częstej dolegliwości jaką jest np. ból głowy, że wspomnieć tu o nich musiałem. Dodać mi tylko wypada, że do ich fabrykacji używa się pargaminu nie tego samego, z jakiego u nas robią listy zastawne, lecz pargaminu roślinnego. Z różnych okazów podobnych woreczków jakie tu widziałem, najśmieszniejsze są pruskie, które zawiązują się z dwóch stron i wyglądają jak butelka o dwóch szyjkach, której wprawdzie postawić nie można, ale za to dwukrotnie korkować ją trzeba.

Na każdym prawie kroku zwiedzającemu wystawę, jeśli jest człowiekiem zastanawiającym się i lubiącym naukę, nasuwa się coś, co go przekonywa ile jest jeszcze rzeczy na świecie, o których najmniejszego nie miał wyobrażenia. Przy mojej ubożuchnej nauce, mnie naturalnie najwięcej nasuwać się może takich sposobności. Tak naprzykład nigdy pojąć nie mogłem na co się przydać może wystawianie rozmaitych płodów i produktów ziemi jak zbóż, jarzyn i t. p. Kiedy to nie ręka ludzka zrobiła, tylko Pan Bóg stworzył, a ludzie tylko użytkować z tego mogą. Teraz przekonałem się z jak fałszywego punktu wychodziłem, w ten sposób sądząc o podobnych wystawach. Oświeciło mnie w tym względzie przyjrzenie się rozmaitym zbiorom kukurydzy znajdującym się na wystawie. Kukurydza?... na co to komu, pytałem się sam siebie, i omal nie dodałem: na co to Pan Bóg stworzył? Dziwiło mnie niezmiernie, że kukurydza tak licznie i w tak rozmaity sposób jest przedstawioną na wystawie, że od Norwegji, aż do państw najbardziej na południe położonych, zewsząd przesłano jej okazy. U nas, o ile wiedziałem, kukurydza nie służy do żadnego użytku, ot chyba dzieci kupują ją na straganach i jedzą raczej ze zbytków nie z głodu. I było po co wystawiać rzecz taką nieużyteczną?

Rozpatrzywszy się bliżej i korzystając z objaśnień jakich mi chętnie udzielano, przekonałem się najprzód, że kukurydza jest jedyną z najpożyteczniejszych darów Bożych. powtóre, że z wystawienia płodów rolniczych wiele nauczyć się można, a potrzecie, że choć człowiek tych płodów sam nie zrobił, może jednak starannością w ich hodowaniu niezmiernie wpłynąć na ich udoskonalenie.

Najciekawszym ze zbiorów kukurydzy, jest zbiór professora Haberlandta z Węgier, mieszczący się w austryjackiej części wystawy. Sposób w jaki tu wystawiono kukurydzę, jest zarazem wzorem jak płody ziemi wystawiać należy, aby z ich obejrzenia wyciągnąć prawdziwy pożytek. Najprzód widzimy wielki obraz, na którym cała roślina kukurydzy przedstawioną jest podług natury, a najważniejsze tej części w mikrospijnem powiększeniu. Obok znajduje się zbiór zupełny 106 gatunków kukurydzy, i w rozmaitych skrzyniach części wchodzące w jej skład chemiczny, okazy chorób jakim podlega, zbiór owadów szkodliwych tej roślinie, próby rozmaitych produktów z kukurydzy, używanej na paszę, mąkę, chleb, do fabrykacji papieru, spirytusu i t. d., nareszcie modele i rysunki narzędzi służących do jej uprawy, słowem wszystko co tylko z kukurydzą bezpośredni ma związek.

W oddziale amerykańskim jest także zbiór kukurydzy, dochodzącej niekiedy do kolosalnej wielkości, 14 do 16 stóp, której kłosy same mają przeszło stopę długości. Kolor ich powiększej części jest białawy lub żółty, są jednak odmiany daleko ciemniejsze, a nawet zupełnie czarne. W ogólności kukurydza biała właściwszą jest na pokarm dla ludzi i do wyrobu krochmalu, żółta zaś na paszę dla zwierząt, do wyrobu spirytusu i t. p. Amerykanin p. Reynoldt z Illinois w wystawionym przez siebie zbiorze, okazuje gatunek szczególny, który umiejętna uprawa doprowadziła do tego stopnia, że nabrał własności obcych zupełnie innym gatunkom. Ziarna tej kukurydzy są miękkie, dadzą się żuć z wszelką łatwością i są bardzo słodkie. Wszystkich tych przymiotów kukurydza pierwotnie nie miała. Doprowadziła ją do tego sztuka i usilność ludzka. Patrząc na te okazy, zrozumiałem, że tym nawet rzeczom, które nie praca ludzka lecz ziemia wydaje, praca jest potrzebniejsza niż sądziłem, i że wystawianie skutków tej pracy przed oczy ludzi, nie jest rzeczą tak bezmyślną i niepotrzebną, jaką mi się zdawało z początku.

Dzienniki tutejsze podają już szczegóły odbyć się mającego wkrótce uroczystego rozdania nagród wystawcom. Akt ten będzie miał miejsce w pałacu przemysłu na polach elizejskich w d. 1 Lipca i nosić będzie nazwę *święta pokoju*. Na samym akcie rozdania nagród nie będę, wejście bowiem zbyt drogo kosztuje i zbyt wielu się o nie ubiega żeby wszystkim dogodzić było można, ale w pałacu przemysłu byłem już i mogłem osądzić przez porównania o ile dzisiejsza wystawa jest większą od poprzedniej, która miała miejsce w tym pałacu, w r. 1855.

Józef Niepowie.

KISZKA I KIEŁBASA.

Będzie to temu lat ośm, kiedy na tej samej ulicy, przy której ja wtedy w Warszawie mieszkałem, zmarła pewna już niemłoda kobieta, rzeczywiście znana z rzadkiej dobroci i która też miała najpoczciwszego człowieka za męża. Jednakowoż pomimo to że to stadło było jak najlepiej dobrane, że żyło z sobą zawsze w przykładnej zgodzie i pan Jędrzej wcale nie miał żadnego złego nałogu, jednakże był jeden dzień w roku, który się nigdy bez bójki nie obszedł.

Było to w twa lata po ślubie państwa Jędrzejowstwa i było w wilją wilji Bożego Narodzenia. Pan Jędrzej był w najlepszym humorze i powiedział do żony: ,,Żebyś też moja Scholasiu przyniosła mi kiszkę; jutro wilja, wartoby się zatem trochę, wzmocnić dzisiaj." Zdarzyło się, że rzeźnik do którego pani Jędrzejowa poszła, nie miał już więcej kiszki, więc wzięła porządny kawał kiełbasy, aby z czemciś przecie do domu powrócić. Mąż był nieco z początku niezadowolniony, ale że kiełbasa była wyborna a przytem porcja niczego, więc się zaraz udobruchał i zapomniał zupełnie o swem nieukontentowaniu.

W rok potem, a było to znowu w wilją wilji, powiedział: ,,Scholasiu dobrze by było dzisiaj kiszkę kupić, tylko pamietaj i nie przynieś mi kiełbasy tak jak w roku zeszłym."

— Jakto! zawołała z oburzeniem pani Jędrzejowa, a czyż ci to przeszłego roku kiszki nieprzyniosłam?

— Co ty masz za krótką pamięć. A nie wmawiajże we mnie że to była kiszka, bo ci powiadam wyraźnie że to była kiełbasa.

— A ja ci jeszcze raz mówię że to była kiszka.

— Jak ty też możesz tak we mie wmawiać, przecież pijany nie byłem.

— No to dopiero i on śmie mi mówić, że to nie była kiszka.

— A ja ci jeszcze raz powtarzam, że to była kiełbasa.

— No moje państwo, ja nie wiem co się z tym człowiekiem dziś dzieje. Mówię ci że kiszka.

— Kobieto zastanów się i niepobudzaj mnie do pasji. Tfu do licha! żeby też co podobnego kto widział.

— To dopiero! żeby mi tak w żywe oczy wpierać, że to nie kiszkę przyniosłam... tegom się ani spodziewała.

— Ustatkuj się kobieto, mówię ci że to kiszka była. Nie złość mnie, bo.... i tu pan Jędrzej zamierzy się ręką na znak groźby, ale że w tej samej chwili Scholasia zawołała: Tak! Kiszkę ci przyniosłam — więc ręka pana Jędrzeja spadła z zamachem na plecy godnej małżonki. I przez jakie dziesięć minut nic nie słychać było tylko odgłos zadawanych i odbieranych razów, którym towarzyszyły dwa wyrazy naprzemian wymawiane: Kiszka! Kiełbasa! Kiszka! Kiełbasa!

W rok później po tej nieprzyjemnej scenie, a była to znowu akurat wilja wilji do Bożego Narodzenia, państwo Jędrzejowstwo już dawno zapomniawszy o swojej przeszłorocznej sprzeczce, zabierali się do spożycia co Bóg dał na obiad.

Pan Jędrzej znowu powiedział w jak najniewinnieszej myśli: ,,Żebyś też Scholasiu po kiszkę skoczyła, ty wiesz że

ja ją tak lubię. To zaraz kartofle inaczej smakują. Spodziewam się jednak że tego roku to nie powiesz, żeby to wtedy kiszka była.

— A ja ci mówię że to kiszka była.

— A ja jeszcze raz tobie powtarzam że kiełbasa.

— Od słowa do słowa, sprzeczka się zaogniła mocno. A że pani Jędrzejowa upornie przy swojem obstawała, więc znów doszło do tego, że przez kilka minut słychać tylko było głuche razy, którym towarzyszyły słowa: Kiszka! Kiełbasa! Kiszka! Kiełbasa!

I czego to nie może przyzwyczajenie. Sprzeczka ta tak jakoś weszła w nałóg państwu Jędrzejowstwu, że pomimo to iż przez cały rok jak najprzykładniej bez obrazy Boga i zgorszenia ludzi z sobą żyli, to w tym nieszczęśliwym dniu, corocznie w wilję wilji do Bożego Narodzenia, ta sama stara kwestja wychodziła na wierzch. I tak przez całe dwadzieścia pięć lat pożycia z sobą, zawsze zgoda i spokojność, tylko w dniu tym fatalnym, naprzód sprzeczka, a potem dopiero razy, przy odgłosie: Kiszka! Kiełbasa! Kiszka! Kiełbasa!

Byłaby to zapewnie i dwudziestego szóstego roku pożycia z sobą od chwili wywiązania się tej sprawy, ta sama scena nastąpiła, ale pani Jędrzejowa umarła tak jakoś na początku Grudnia, na parę tygodni przed tym dniem feralnym, więc brakło jednej strony wojującej, to i bójki niebyło.

Pan Jędrzej był niepocieszony. Rzewnie płacząc, powtarzał pocieszającym go znajonym: Takiej poczciwej kobiety, to już chyba na świecie nieznalazłby więcej.

Niewiem co się tam dzieje teraz z panem Jędrzejem, bo już przeszło lat pięć jak niemieszkam w Warszawie.

Ale przed moim wyjazdem, był on zdrów jak ryba, pracował zawsze pilnie, tylko że go czasami biedaka ciężki smutek tłoczył. Ba! bo taką dobrą żonę jak on miał a utracił, to i nie ma nic dziwnego że żałował.

Zygmunt Gawarecki.

KSIĄDZ RICHARD.

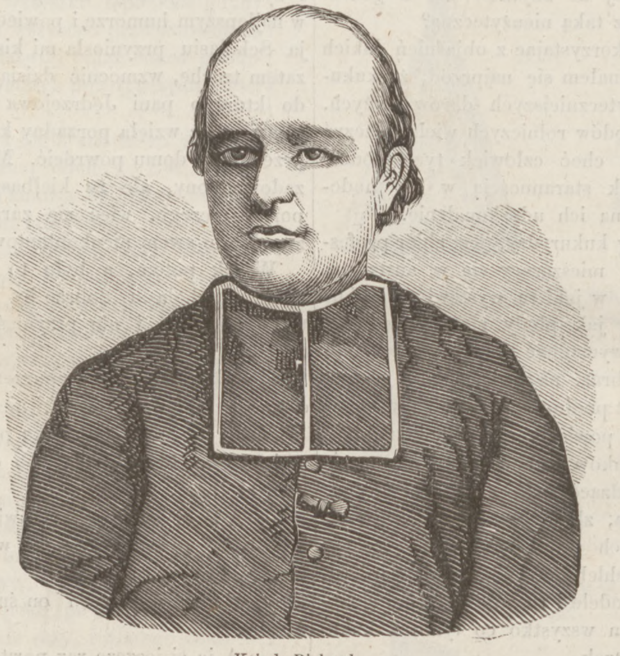
Urodzony w 1826 roku w mieście Tesson (Charente-inferieure) we Francji, wcześnie ks. Richard okazywał do nauk przyrodzonych zamiłowanie. Pozostając na kursach teologji w Rochelle, obok studjów właściwych przyszłemu powołaniu swemu, przeważnie z własnego popędu, oddał się badaniom nad Przyrodą.

Wyświęcony w roku 1852 na kapłana i zanominowany professorem w Montlieu, mając wiele wolnego czasu od zajęć obowiązkowych — oddał się z całym zapałem ulubionej nauce, i w praktyce już zaczął stósować teorją, po większej części przez siebie ułożoną.

W ogrodzie Seminarium w Montlieu, płynie zdrój szczególniejszego rodzaju, nad którego zbadaniem ks. Richard przemyśliwał czas długi. Pewnego dnia siedząc w blizkości zdroju, o jakim mowa, podczas szelestu, który wydawał mały spadek tej wody—w głęboką pogrążył się zadumę i nagle umysł jego dociekający, wytworzył hipotezę, za którą idąc, sprawdził istotę źródła zkąd strumień wody tej wypływał.

Hipoteza ta, stósowana praktycznie w innych warunkach i innych miejscowościach, pokazała się niewątpliwą prawdą i imię księdza Richarda szeroko niosła po świecie.

Od dnia tego utworzona przezeń teorja krążenia wody na powierzchni ziemi, obieg i powstawanie strumieni podziemnych, ugruntowanemi zostały. Pierwsze zastosowanie jakie z nich uczynił, wprowadziły świat cały w zadziwienie, zwłaszcza, że ks. Richard oparł pomysły swoje ściśle na matematycznym rachunku. Prassa dziennikarska brzmiała odgłosem jego nazwiska. Wnet sława jego przekroczyła granice Francji, a dziś imię odkrywacza źródeł księdza Richarda, znajduje się w ustach niemal każdego. Na drodze urzędowej powoływały go do swych państw rozmaici monarchowie: Bawarski, Belgijski, Turecki, a Cesarz Austryjacki za odkrycie źródeł wody w Wiedniu i pobliżu zatoki Adrjatyckiej, order zasługi mu udzielił.



Ksiądz Richard.

Zupełnie tak samo jak lekarz poznaje bieg krwi w ciele ludzkiem, umie ks. Richard wskazać gdzie w ziemi płyną większe i mniejsze potoki. Używa do tego laski, której główka zawiera merkurjusz. Przechodząc jaką okolicę, czyni poszukiwania tą laską, wtykając ją w ziemię; podług znaków jemu tylko wiadomych, oznacza on czyli jest w tem miejscu źródło lub nie, jak głęboko i jak obfite. Co zaś jest zadziwiającem, że w okolicach, gdzie poprzednio nigdy nie przebywał, których nie zna wcale, za udzieleniem objaśnień stosownych, wskazuje z całą pewnością gdzie szukać źródeł i nigdy się nie omyli.

Nie mamy zamiaru w tym krótkim szkicu wyliczać wszystkich, a nawet znaczniejszych odkryć prawdziwie cudownie dokonanych przez ks. Richarda, podawane one były do wiadomości publicznej we wszystkich prawie dziennikach polskich, a ostatnio w Gaz. Roln. z d. 1 Marca r. 1865 w Nr. 9. Nadmieniamy tylko, że ks. Richard. zwiedził w 1861 r. Galicją, w r. 1865 był w W. K. w Poznańskiem.

Następnie udał się do Turcji.— W 1866 r. był znowu w Galicji, celem zbadania źródeł nafty do oświetlania; a ostatnio o ile wiemy był w Wrocławiu na Szlązku, dokąd go Dyrekcja kolei żelaznej powołała, celem wynalezienia dostatecznej ilości wody źródlanej nad koleją górną-szlązką. *Juljan Izert.*

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.